

Tempora mutantur et nos mutamur...? Leopold Unger o polskiej scenie politycznej pod koniec XX wieku¹

Transformacja ustrojowa w Polsce schyłku XX wieku oraz jej odbicie w świadomości społecznej to temat niezwykle interesujący dla badacza. Jego analiza pozwala historykowi zajmującemu się dotąd odleglejszymi czasami – jako świadkowi epoki – radykalnie zweryfikować swój stosunek do źródeł i ich wiarygodności. Także tych z dawnych epok, bo przecież ludzie zachowywali się podobnie, natomiast zmieniały się w pierwszym rzędzie środki techniczne – dziś znajdujemy się w o tyle korzystnej sytuacji, iż możemy łatwo zweryfikować informacje, *discernere vera et falsa* – jak to określili nasi poprzednicy u progu czasów nowożytnych a zarazem w chwili narodzin krytyki źródłowej. Obserwując przewrotność propagandystów, którzy bez żenady potrafią lekceważyć fakty a nawet je prokurować, przed dziesięciu mniej więcej laty przesunąłem chronologię swych badań z czasów dawniejszych na współczesność², na trwałe zbliżyłem się do wielkich nazwisk w jej piśmiennictwie politycznym, wśród których trwałe miejsce zajmuje Leopold Unger.

¹ Pełna wersja artykułu opublikowanego ze znacznymi skrótami bez konsultacji z autorem przez Wydawnictwo UMCS w księdze pamiątkowej na 85-lecie urodzin Leopolda Ungera (*Udało mi się mieć ciekawe życie*. Lublin 2008, s. 59–68) pod skróconym tytułem (m.in. bez pierwszych trzech stron oraz 18 przypisów, w tym p. 1–10).

² Właściwie zaczęło się to od stanu wojennego, na którego początku musiałem opuścić stanowisko dyrektora Biblioteki Kórnickiej Polskiej Akademii Nauk i zacząć dojeżdżać przez całą dekadę jako profesor historii z Poznania do pracy w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu, z którego to okresu mimo niedogodności komunikacyjnych pozostały pozytywne wspomnienia. Nie miałbym natomiast osobistych powodów do takiej samej opinii o „13 grudnia”. A jednak spoglądając na tę datę z perspektywy całego ćwierćwiecza w moim przekonaniu *sine ira* (a może również *et studio*), starałem się już wówczas a zwłaszcza z biegiem czasu, w ciągu minionego ćwierćwiecza dostrzec działania ówczesnych przywódców – zarówno obozu władzy jak i opozycji – z uwzględnieniem uwarunkowań politycznych, zob. Marceli Kosman, *Wojciech Jaruzelski wobec wyzwań swoich czasów. O kulturze politycznej w Polsce przełomu tysiącleci*, Poznań 2003; tenże, *Los Generała*, Toruń 2007; idem, *Polska w drugim tysiącleciu*, t. II.

Obserwacja badawcza z historycznej perspektywy (1981–2007) pozwoliła ocenić ewolucję postaw jednostek i zbiorowości na tle własnych doświadczeń w wieloletnich kontaktach z przodkami, zwłaszcza z czasów reformacyjno-kontrreformacyjnych. Nasuło się też sporo analogii dotyczących miejsca synkretyzmu i ewolucji w dziejach a także autentycznych czy wydumanych zrywów typu rewolucyjnego. Wspomniane wyżej zdobycze cywilizacyjne naszych czasów pozwalają doskonale zilustrować postawy ludzi skostniałych poglądów, niereformowalnych czy ograniczonych w polityce, choć nierzadko cieszących się poklaskiem (nazwisk jest niestety wiele, lepiej pokryć je litościwym milczeniem), ale też przechodzących znamiennej pozytywną ewolucję (tu godzi się wspomnieć przykład szczególnie pozytywny, profesora Stefana Niesiołowskiego); zapisy na taśmie przypominane z nagrań telewizyjnych wystąpień³ ukazują dowody ewolucji poglądów autentycznej ale i koniunkturalnej. Właśnie na tym tle jaśnieją szczególnym blaskiem postaci wielkich pisarzy politycznych (nie waham się użyć tego określenia „z najwyższej półki”) związanych z Jerzym Giedroyciem i środowiskiem paryskiej „Kultury”⁴, kształtujących kulturę polityczną krajowych elit, tych z kręgu dawnej władzy i ówczesnej opozycji. Ludzi, którzy potrafili unieść się ponad osobiste krzywdy i urazy, spoglądali na scenę polityczną w kraju oraz jej głównych aktorów bez zacietrzewienia i małostkowości, za to z wykorzystaniem własnego bogatego bagażu doświadczeń życiowych i historycznych. „Brukselczyk” wśród nich zajmuje czołowe miejsce wśród tych, którzy zasłużyli na miano nauczycieli swego narodu. Gdyby dziś panował Stanisław August, zapewne przyznałby mu – jak w czasach Oświecenia – medal *Sapere auso* „temu, który odważył się być mądrym”.

Ludzie miałkiego umysłu, albo przynajmniej pozbawieni zasad etycznych, szermują z góry zaplanowaną tezę, później dostosowując do niej materiały, zazwyczaj tendencyjne albo zgoła spreparowane. Tacy dominują we współczesnej prasie polskiej. Natomiast ci z „wysokiej półki” – podobnie jak szanujący się historycy – podchodzą z respektem do źródeł, dokonują ich analizy i dopiero później wyprowadzają wnioski, nierzadko korygując własne wcześniejsze wypowiedzi. Nie kierują się oczekiwaniami ogółu, często pozostają – do czasu przynajmniej – w związku z tym osamotnieni⁵. Mogą za to liczyć na trwałe miejsce w historii, jedni jako jej twórcy, inni jako dokumentaliści i ludzie pióra. Była to właśnie droga, jaką swego czasu wybrał „Samotnik z Maisons-Lafitte”, jak swego czasu nazwałem twórcę paryskiej „Kultury”⁶, i na którą wkroczył po uwolnieniu się z krajowego gorsetu cenzuralnego przed czterdziestu laty spoglądający na ojczyznę, Europę i świat z brukselskiej perspektywy dzisiejszy Jubilat, jeden z najbliższych jego współpracowników⁷.

³ Mam na uwadze te oficjalne a nie owe potajemne, z tak popularnych niestety dziś podsłuchów stosowanych czy to przez parlamentarzystów czy tajne służby.

⁴ Zob. na temat tego środowiska Iwona Hofman, *Szkice o paryskiej „Kulturze”*, Toruń 2005.

⁵ Szerzej o takich postawach na przykładzie stosunku Giedroycia jako politycznego realisty do kwestii polskiej granicy wschodniej studium teje Autorki, *Ukraina, Litwa i Białoruś w publicystyce paryskiej „Kultury”*, Poznań 2003

⁶ M. Kosman, *Samotnik z Maisons-Lafitte*, „Przegląd Zachodni”, Poznań 2002, nr 1.

⁷ Wielokrotnie jest wspomniany m.in. na kartach książki cytowanej w przypisie 1, zob. wg indeksu.

Kiedy wspominam dawne, a obserwuję obecną scenę polityczną, łatwo na niej zauważyć ludzi impulsywnych, kierujących się emocjami, których reakcja wyprzedza tok myślowy. Obok nich jaśnieją te postacie, które wypowiadają się z odwagą, ale przede wszystkim z rozważą. Wspomnę tytułem przykładu potomka rodu kniaziowskiego, który się – w przeciwieństwie do szukających wątpliwych często dostojnych antenatów⁸ trzeźwo spoglądał w przeszłość i w przyszłość – mowa oczywiście o Jerzym Giedroyciu. W dobie gniewnych a często wydumanych resentymentów przypomnę głos znakomitego badacza, który wspominając niełatwe czasy po 1945 r., stwierdził w rozmowie z dziennikarzem, że nie należy gniewać się na historię⁹. Przykładem człowieka, który mając za sobą niełatwe internowanie w grudniu 1981 r., po kilkunastu latach z otwartą przyłbicą, walcząc z solidarnościową „czwartą brygadą”¹⁰ bronił Wojciecha Jaruzelskiego, narażając się na bezpardonowe ataki ze strony niedawnych komilitonów oraz ich emocjonalnych spadkobierców – mowa o Aleksandrze Małachowskim. W tym miejscu trudno nie wspomnieć rycerskiej postawy Adama Michnika¹¹, przedstawiciela młodszego pokolenia autentycznych kombatantów. W tym szeregu ludzi mądrych, patriotów a zarazem Europejczyków, Leopold Unger ze swą biografią zajmuje trwałe miejsce. Życie go wiele nauczyło, przy czym potrafił z niego wyciągać właściwe wnioski, która to cecha nie jest zbyt często – a pośród dzisiejszej sprymitywizowanej „klasy politycznej” występuje raczej nader rzadko – spotykana. Jakże wymowne jest pierwsze odautorskie zdanie w zbiorze publicystycznym datowanym w kwietniu 1991 r.:

„Moi rodzice urodzili się i pobrali w Austrii, budowali z trudem byt od zera (pierwsza światówka wszystko Ungerom zabrała) i założyli rodzinę w Polsce, zginęli w hitlerowskich Niemczech, pochowani są w nieznanym grobie w Związku Sowieckim... wszystko to bez zmiany adresu zamieszkania przy ul. Gródeckiej 99 we Lwowie”¹².

⁸ Takich poszukiwaczy nigdy nie brakowało, zarówno w czasach porozbiorowych, jak i obecnie, zwłaszcza po 1989 r. Jednemu z nich przed stu kilkudziesięciu laty autor Trylogii na oczekaniu wyrzósował herb, który nazwał „Wesz na bębenku”. Zabawne też są parantele Przemysława Edgara Gosiewskiego, wicepremiera w rządzie Jarosława Kaczyńskiego (2007 r.) z nieszczęsnym hetmanem polnym litewskim z połowy XVII w. (Wincenty Korwin Gosiewski), notabene rozstrzelanym przez zbuntowanych podkomendnych, którego ów dostojnik usiłuje bezzasadnie nobilitować, czyniąc bezzasadnie prototypem sienkiewiczowskiego Andrzeja Kmicica.

⁹ *Nie gniewam się na historię...* Z Profesorem Gerardem Labudą rozmawia Piotr Grochmalski, „Wprost” nr 22(183) z 1 VI 1986, s. 20 nn.

¹⁰ Analogie z „przyszywającymi się” do Legionów z czasu pierwszej wojny światowej, których były trzy brygady, rzekomymi legionistami, których dosyć łatwo rozszyfrowywano w okresie międzywojennym, nazywając czwartą brygadą.

¹¹ Adam Michnik dał temu wyraz wielokrotnie, szczególnie w liście otwartym do ustępującego ze stanowiska w grudniu 1990 r. pierwszego prezydenta odrodzonej Rzeczypospolitej a nieco później w długiej (a nie wolnej przecieź od polemicznych akcentów) z nim rozmowie, której tekst został opublikowany w formie aneksu do jego opublikowanych we Francji pamiętników – zob. Wojciech Jaruzelski, *Les chaînes et le refuge. Mémoires*. Traduits du polonais par Gabriel Meretik. Suivis d'un entretien avec Adam Michnik (traduction de Laurence Dyèvre). Paris 1992), s. 353–387.

¹² L. Unger, *Z Brukseli*, Warszawa 1991, s. VII.

Trudno o bardziej lapidarny a zarazem wymowny wykład dziejów jednego pokolenia, którego kontynuację stanowi nieco obszerniejsze wyznanie samego autora: „Ja urodziłem się pod tym samym adresem we Lwowie, ale już w niepodległej Polsce. Z tego samego domu wyszedłem mając lat siedemnaście w 1939 roku na moje pierwsze uchodźstwo polityczne, do Rumunii naturalnie. Byłem zupełnie sam na świecie, kiedy wróciłem w 1948 roku do komunistycznej Polski i kiedy Lwów był już stolicą zachodniej Ukrainy. Dlatego to w Warszawie, znowu od zera (druga światówka wszystko i wszystkich Ungerom zabrała), zacząłem budować byt i rodzinę. Udała mi się tylko – ale za to nadzwyczajnie – rodzina. Albowiem tak zwany wiatr dziejów, czyli lata 1967–1969, znowu wszystko Ungerom (poza życiem) zabrał i znowu rzucił w uchodźstwo polityczne. Tym razem na zachód, do Belgii, gdzie po raz trzeci, i mam nadzieję – choć nie pewność – że ostatni, Ungerowie zaczęli od zera budować...”¹³

Przeszedł twardą szkołę życia, przy czym z pewnością nie było ono nigdy nudne, zresztą z własnego wyboru dziennikarza z sześćdziesięcioletnim stażem, który nieustannie poznawał świat – jak pisze – ten „bez maski”. Debiutował jako niespełna trzydziestolatek jako korespondent PAP w Bukareszcie, gdzie naraził się zwierzchności zachowaniem „niezgodnym z wzorami socjalistycznego dziennikarstwa”, co stało się powodem odwołania do Warszawy. Tu spędził niespełna dwie dekady (włączając wyjazdy zagraniczne w charakterze korespondenta prasowego¹⁴), zakończone raptownie w 1987 r. W dwa lata później rozpoczęła się trzecia faza w biografii – Bruksela stała się mocnym przystankiem, choć w jego połowie otwarła się droga powrotu do ojczyzny, z której znakomity pisarz polityczny korzysta często, ale w charakterze gościa. Swe perypetie ukazał we wspomnieniach pod jakże wymownym nagłówkiem, przekornie określając się mianem wiecznego „intruza”¹⁵. W polskiej rzeczywistości, tamtej okresu zwanego stalinowskim i popaździernikowego z jego wszystkimi nadziejami i rozczarowaniami, starał się być realistą, nie szukał niepotrzebnych guzów, choć trudno mu było ich unikać, wychodził więc z konfrontacji cały choć poobijany. Zarówno on, jak i pisane przezeń teksty, o czym wspomina z kubańskiej perspektywy jako ofiara „masakry, jakiej na moich depepszach i korespondencjach dokonywała zwyczajna i partyjna cenzura”¹⁶. Zresztą dla zamkniętego kręgu partyjno-dziennikarskiego cenny były, udostępniane tylko tam a zakazane do szerokiego rozpowszechniania informacje, jak ta o ocenianiu w prasie

¹³ Ibidem.

¹⁴ Nie doszedł do skutku w tym charakterze wyjazd do Paryża, natomiast lata 1962–1963 L. Unger spędził jako korespondent PAP na Kubie. Tamtemu pobytowi poświęcił wiele miejsca we wspomnieniach, nadesłał z Hawany mnóstwo interesujących tekstów a do tego pobytu sięga również po latach zob. np. tekst politologiczny o spotkaniu przed 45 laty z bohaterem rewolucyjnej legendy, Ernesto Guevarą (*Moje spotkanie z Che*, „Gazeta Wyborcza” z 16 X 2007, s. 13).

¹⁵ L. Unger, *Intruz*. Warszawa 2001. Do tej książki często sięgają piszący o jej autorze, np. Agata Fijth w swoim artykule (*Intruz w Maisons-Lafitte, czyli publicystyka Leopolda Ungera w paryskiej „Kulturze”* [w:] „Media Dawne i Współczesne” pod red. B. Kosmanowej, t.II, Poznań 2007, s. 107–115) odwołując się doń w 14 spośród ogólnej liczby 38 przypisów.

¹⁶ *Intruz*, s. 158.

hawańskiej przemówienia Nikity Chruszczowa na zjeździe SED (Niemieckiej Socjalistycznej Partii Jedności) w Berlinie¹⁷, czy informacja o rozmowie z dziennikarzem „Le Monde” Fidela Castro, której ten oficjalnie zaprzeczył¹⁸. Z własnej inicjatywy – w gorącym okresie kryzysu na linii Hawana (Moskwa) – Waszyngton, „choć nie było to bardzo po dziennikarsku”, zdecydował się korespondent PAP na wysłanie do Warszawy długiej analizy sytuacji, bardzo przychylniej dla oszukiwanej przez Moskwę Kuby i bardzo nieprzychylniej dla oszukującej Kubę Moskwy, prosto do Adama Rapackiego, ministra spraw zagranicznych, jednego z niewielu wówczas, w moim pojęciu, normalnie myślących polityków w Warszawie. Raport bardzo się przydał, jak mi potem powiedział sam premier Cyrankiewicz¹⁹.

Warto o tym pamiętać w okresie, kiedy szermowana przez władze „polityka historyczna” stara się upowszechnić jednostronny, czarny obraz władz całej PRL jako bezwzględnej – i bezmyślnego! – satelity Kremla. Godzi się też przypomnieć, co napisał o nim w swym diariuszu pod datą 19 stycznia 1962 (było to więc krótko przed wyjazdem na Kubę) a opublikował trzydzieści sześć lat później Mieczysław Rakowski, wówczas naczelny redaktor „Polityki” w związku ze sporządzoną przez Ungera obszerną – na dwudziestu kilku stronach – oceną tego tygodnika, która przed paru dniami była przedmiotem dyskusji w zespole redakcyjnym z udziałem przedstawicieli Biura Prasy Komitetu Centralnego PZPR. Powierzenie tego rodzaju zadania ówczesnemu sekretarzowi redakcji „Życia Warszawy” świadczyło o uznaniu dlań w kręgach prasowych ale i politycznych: „Poldek jest facetem lubiącym dowcip, którego nie brak również w ocenie. Na wstępie wylał „kubel pochwał”. Napisał, że „Polityka” jest pierwszym namacalnym dowodem na to, że w Polsce może wychodzić ciekawe i poczytne pismo polityczne. Według Poldka dowodem jest wzrost nakładu z 30 do 60 tysięcy oraz „widoczna zawiść kolegów”. Jego zdaniem, istnieje specyficzny model „Polityki”, a polega na rehabilitacji przez pismo „szacunku dla czytelnika”. Zaspicyfikę uznał też rozmowy z przedstawicielami różnych dziedzin naszego życia politycznego. Za najambitniejszy cykl naszych rozmów uznał wywiady z pierwszymi sekretarzami KW. Poldek chwali nas za „odkonspirowanie» czołówki aktywu partii”. Uważa, że można się z nich dowiedzieć nie tylko tego, co myślą, ale także, jak wyglądają. „W ocenie nie brak krytycznych uwag, ale niemal wszystkie dotyczą warsztatu dziennikarskiego”, braku konsekwencji w dokań-

¹⁷ M. F. Rakowski, *Dzienniki polityczne* T. 2 (1963–1966), Warszawa 1999, s. 23.

¹⁸ „Wiele hałasu narobił artykuł opublikowany w „Le Monde” zawierający relację z rozmowy, jaką Claude Julien odbył w Fidelem Castro (ten wygłosił szereg zdań krytykujących politykę Chruszczowa i akcentujących suwerenność Kuby w stosunku do Moskwy – uwaga moja, MK)... Dzień później Castro oświadczył, że takiej rozmowy nie było. Unger twierdzi, że oczywiście taka rozmowa się odbyła i na pewno Castro tak właśnie się wypowiadał” – notuje 24 marca 1963 r. w swym poufnym i nie przeznaczonym wówczas do publikacji diariuszu Rakowski (op.cit., s. 48)

¹⁹ *Intruz*, s. 156. Wkrótce potem – podczas wizyty w Nowym Jorku – szef polskiego rządu, z którego inicjatywy doszło do spotkania z dziennikarzami, tytułując Ungera panem a nie towarzyszem (na co ten zwrócił uwagę) wyraził mu podziękowanie za kompetentną analizę sytuacji: „byliśmy dzięki panu lepiej niż inni poinformowani o sytuacji na Kubie” (ibidem, s. 163).

czaniu wszczętych akcji itd. Jego końcowy wniosek: „Polityka” przesądza odpowiedź na pytanie, czy może istnieć atrakcyjne pismo i atrakcyjna publicystyka polityczna, publicystyka angażująca rozum, wiedzę i przekonania dziennikarza i czytelnika. I „dlatego ludzi z «Polityki» należy dobrze przykryć, żeby się nam nie przezebrali” (podkr. MFR). Pięknie nas ocenili!”²⁰.

Miał przyszły premier z tej oceny prawdziwą satysfakcję, jako że niemal na każdym kroku spotykał się z tępotą i zawiścią ze strony funkcjonariuszy partyjnych oraz kolegów po piórze, rosnącą wraz z nakładem „Polityki”. Z cytowanej opinii zaś przebijają rozważna odwaga, realizm i zawodowe kompetencje recenzenta redagowanego przezeń tygodnika. Dlatego owej opinii poświęcił tyle uwagi i pamiętał o jej autorze w następnych dziesięcioleciach, kiedy ten stał się banitą i uprawiał zawód z dala od ojczyzny, pod pseudonimem, za to uwolniony od okowów krajowej cenzury.

Expatriacja nie była sprawą łatwą, kierunek na Brukselę nosił znamiona ryzyka, choć Belgia nęciła dziennikarza z różnych względów – posiadał tam rodzinę, silne były tradycje polskiego wychodźstwa od czasów powstania listopadowego i Joachima Lelewela²¹ aż po drugą wojnę światową²², później miało się tam ulokować prężne biuro „Solidarności”. Ale i silna nieufność wobec wszystkiego, co przychodziło ze Wschodu...

Niedawny sekretarz redakcji czołowego „komunistycznego” dziennika i członek PZPR, choć w swej ojczyźnie Anno Domini 1968 „zweryfikowany” jako element obcy a nawet wrogi, również przez organa bezpieczeństwa królestwa Belgii został potraktowany... wielce podejrzliwie i dopiero autorytety w zakresie antykomunizmu, doświadczony adwokat, nie licząc inteligentnych działań samego Tułacza doprowadziły do uzyskania zgody na przyznanie mu pobytowej wizy wjazdowej pod warunkiem wstrzymania się od wszelkiej działalności politycznej. Droga do stałej pracy w redakcji renomowanego, liczącego całe stulecie dziennika „Le Soir” również nie była usłana różami, jednak szybko została

²⁰ M. F. Rakowski, *Dzienniki polityczne* (T. 1) 1958–1962, Warszawa 1998, s. 351 (podkreślenia kursywą – z wyjątkiem ostatniego, co zaznaczyłem – moje, MK). Autor *Intruza* (s.380) przypomina tę zapiskę, jedynie omyłkowo lokując ją w trzecim a nie pierwszym tomie *Dzienników politycznych*. Podtrzymuje też po niemal czterdziestu latach uprzednią ocenę tygodnika, który z biegiem czasu niezależnie od wahań w polityce partyjnej stawał się „coraz bardziej interesujący i w miarę bezkrwawy”.

²¹ Zob. Stefan Kieniewicz, *Samotnik brukselski. Opowieść o Joachimie Lelewelu*, wydanie II, Warszawa 1964, s. 78 nn. Znakomity historyk został wydalony z Francji (w Paryżu przebywał od końca października 1831 r.) po niespełna półrocznym pobycie i wówczas osiadł na stałe w Brukseli, gdzie utrzymywał kontakty korespondencyjne ze wszystkimi ośrodkami emigracji na Zachodzie, żył w biedzie nie przyjmując nawet – dla zachowania niezależności – płatnego stanowiska profesora historii i geografii starożytnej na Wolnym Uniwersytecie w stolicy Belgii – tegoż, *Lelewel Joachim Józef Benedykt (1786–1861)*, *Polski Słownik Biograficzny* T.XVII, s. 23 n.

²² Po jej zakończeniu osiedli w mieście liczni wychodźcy z pokolenia powrześniowego, wśród nich znany dziennikarz Jerzy Drobniak (1894–1974), który spędził tam ostatnie ćwierćwiecze życia (był zastępcą redaktora wydawanego tam od 1946 r. „Orla Białego”, którego redakcja w trzy lata później została przeniesiona do Londynu) i zmarł, natomiast pochowany został – podobnie jak Lelewel – wśród rodaków w stolicy Francji – por. Zbigniew Lenarczyk, *Jerzy Drobniak. Między dziennikarstwem a polityką*, Poznań 2001, s. 144 nn.

uwieńczona trwającym do dziś dnia sukcesem. Natomiast nowe doświadczenia nakazywały unikać skrajności w entuzjastycznych ocenach wolności zachodniej i potępianiu w czambuł wszystkiego ze Wschodu.

Na emigracji nie miał polski publicysta łatwego życia, sam zresztą takowego nie szukał a nierzadko wyzywał los, o czym świadczy jego podanie (a zwłaszcza obszerne doń załączniki z lutego i marca 1984 r.) o przyjęcie na etat w sekretariacie generalnym UNESCO w Paryżu, nie wolne od wnikliwej krytyki pod adresem tej instytucji. Stworzyło ono okazję do poddania druzgocącej krytyce marnotrawienia środków i panoszącego się nepotyzmu, m.in. w stosunku do pobierających apanaże bez wykonywania zadań osób, na przykładzie mieszkającego od dawna w Moskwie obywatela radzieckiego Jurija Kriwcowa²³.

Kolejne etapy w rozwoju pisarza politycznego, który przed pięćdziesiątką z autopsji dobrze poznał sprawy ojczyzny i bloku moskiewskiego (łącznie z daleką i egzotyczną ustrojowo Kubą), związane były ze spojrzeniem globalnym od strony Zachodu, przede wszystkim z paryską „Kulturą” i Jerzym Giedroyciem a także z gorzkimi doświadczeniami w kontaktach z prymitywną częścią polskiej emigracji na zachodzie. Uważnie śledził i poddawał krytycznej ocenie postawy rządów i organizacji zachodnich wobec sytuacji w Polsce okresu fundamentalnych przemian politycznych po 1980 r., czego wymownym dowodem może być *Mój anty-raport o stanie wojennym*, nawiązujący do sprawozdania przedstawionego 21 lutego 1983 r. przez Hugo Gobbi, zastępcę sekretarza generalnego ONZ. Poddaje ten dokument surowej krytyce, eksponując stosowanie nierównej miary w ocenie przypadków łamania praw człowieka w różnych krajach świata i w swej ojczyźnie podczas stanu wojennego, który był jego zdaniem traktowany niepomniernie pobłaźliwie niż inne reżimy²⁴.

Początkowo tedy był krytycznie ustosunkowany wobec nowej ekipy, która doszła do władzy po odsunięciu Edwarda Gierka. I trudno się dziwić – wszak na wszechmocnym Kremlu wszystko pod rządami Leonida Breżniewa pozostawało bez zmian (a te miały przyjść dopiero po 1985 r. wraz z Michaiłem Gorbaczowem), w kraju zaś wiele wskazywało, że kolejny przewrót pałacowy doprowadzi jedynie do propagandowych przemeblowań, jak to miało miejsce po upadku Władysława Gomułki²⁵. Zwłaszcza że informacje nadchodzące ze źródeł opozycyjnych raczej nie nastrajały optymistycznie. Mocno zirytował go bojkot igrzysk olimpijskich 1984 r. w Los Angeles – w solidarności z Moskwą przez Polskę – któremu przeciwstawił decyzję Nicolae Ceausescu, co skwitował bardzo ostro, wyciągając daleko idące wnioski. Oto jeden z nich:

²³ L. Unger, *UNESCO...?* Warszawa 1985, s.1–17 (maszynopis powielany).

²⁴ Zob. L. Unger, *Orzeł i reszta (widziane z Brukseli)*, Paryż 1986 (Biblioteka „Kultury”), s. 13 i nn.

²⁵ Tak zresztą z narastającym pesymizmem w „przerwanej dekadzie” (choć do jej końca zabrakło ledwie kilku miesięcy) Gierka po szybko zagasłym początkowym optymizmie myśleli, oczekując kolejnego nieuchronnego kryzysu, myślący ludzie z kregów władzy. Wyrazem narastających rozczarowań są refleksje Mieczysława Rakowskiego w kolejnych tomach jego *Dzienników politycznych* za lata 1970–1980; w roku następnym już jako reformator – polityk, powołany na stanowisko wicepremiera, przynosi swe pesymistyczne uwagi również na dążącą jego zdaniem do konfrontacji opozycję.

„Po trzecie, generał jest nagi. Główna teza puczystów na użytek Zachodu sprowadza się do twierdzenia, iż zamach grudniowy uratował Polskę od inwazji sowieckiej. Olimpijska kapitulacja potwierdza tezę odwrotną, w Polsce naturalnie znaną: zamach był przedsięwzięciem sowieckim wykonanym polskimi rękoma, sprowadził Polskę i to bez inwazji jak na Węgrzech czy Czechosłowacji, bez udziału bezpośredniego armii czerwonej, do roli i statusu Mongolii. Przypadek, który jest kochankiem prawidłowości, sprawił, że historia wystawiła obecnej władzy w Polsce najbardziej okrutne świadectwo hańby jakie można było sobie w ogóle wyobrazić: Jaruzelski uwięził polskich sportowców, aby uniemożliwić im start nie byle gdzie, ale akurat na tej samej bieżni, na której 52 lata temu złote medale zdobywali niejaka Walasiewiczówna i niejaki Kusociński”²⁶.

Znakomitym obserwatorem i dokumentalistą wydarzeń w kraju po 1980 r. był przede wszystkim redaktor naczelny „Kultury”, który wstrzymywał się – przynajmniej do czasu – z komentarzami a kiedy się one pojawiły, to nie pod jego nazwiskiem. Zmieniała się też jego optyka w stosunku do tajemniczego generała w ciemnych okularach (nigdy z nich nie sztychł, w przeciwieństwie do propagandystów z krajowego podziemia, rozlepiających ulotki w rodzaju: *Dokąd ten ślepiec nas zaprowadzi* – o człowieku, który niemal stracił wzrok w latach niewoli na Syberii), zakończona w sposób zaskakujący, kiedy opublikował na łamach „Zeszytów Historycznych Kultury” obszerny tekst Wojciecha Jaruzelskiego na temat przyczyn i przebiegu stanu wojennego. Obaj się nigdy nie widzieli, musieli jednak – choćby za pośrednictwem osób zapewniających dyskrecję – drogą pośrednią nawiązać kontakty²⁷. Rzecz charakterystyczna, w opublikowanej korespondencji między Giedroyciem i byłym dyrektorem rozgłośni polskiej Radia Wolna Europa za lata 1952–1998 zaskakuje luka między 1 grudnia 1981 i 8 czerwca 1982 r. – choć z ogłoszonych listów wynika niezbicie, że w owym czasie obaj do siebie, i to zapewne intensywnie, pisywali²⁸. Ale ich wynurzenia jak dotąd pozostają w archiwalnych manuskryptach. Samotnik z Maisons-Lafitte nie krył swego niepokoju złożoną sytuacją w kraju po drugiej wizycie papieża²⁹, nadal zachowywał rezerwę wobec Jaruzelskiego, jednak była ona pozbawiona większej niechęci, choć w kolejnych listach nie brakowało w stosunku do niego uszczypliwości³⁰.

Na tym miejscu godzi się przypomnieć wyjątkową opinię o Wojciechu Jaruzelskim, wyrażoną na samym początku stanu wojennego przez przebywającego w Londynie Jędrzeja Giertycha, niemal nieznaną szerszemu ogółowi, bo opublikowaną nad Tamizą

²⁶ Ibidem, s. 266 i n.

²⁷ O ewolucji spojrzenia kręgu „Kultury” na stan wojenny po 1982 r. zob. M. Kosman, *Z rozważań nad kulturą polityczną w Polsce*, część II, Poznań 2001, s. 115–146.

²⁸ Jan Nowak-Jeziorański, Jerzy Giedroyc, *Listy 1952–1998*, wybór, opracowanie i wstęp Dobrosława Platt. Wrocław 2001.

²⁹ List Giedroycia z 30 lipca 1983 r. – ibidem, nr 335 s. 594.

³⁰ Dowodzi tego m.in. obszerny list Giedroycia do Nowaka z 5 lipca 1985 r., gdzie nazywa generała doskonałym graczem (ibidem, nr 355, s. 619 i n.) a także określenie tworzonej Rady Konsultatywnej (właściwie: Konsultacyjnej) jako „niepokojącej inicjatywy” (tenże do tegoż, 10 września 1986 – ibidem, nr 374 s. 651).

w niskonakładowym, właściwie powielaczowym pisemku („Opoka”) a w kraju nie propagowaną, jako że odbiegała od haseł głoszonych później przez dwa kolejne – zwłaszcza reprezentowane przez Romana – pokolenia Giertychów. Patriarcha rodu w obszernym esejku dał upust swemu antysemityzmowi (stąd bezkompromisowy atak na opozycjonistów z pokolenia Jacka Kuronia, Adama Michnika czy Bronisława Geremka), krytyczne uwagi o przywódcach Kościoła i...pełne zrozumienie dla Wojciecha Jaruzelskiego, któremu intuicyjnie zaufał jako cieszącemu się uznaniem generałowi, aczkolwiek zaznaczył, że bliżej go nie zna. Warto zacytować trzy zdania (pamiętajmy, napisane na początku 1982 r.) z końcowej części wywodów:

„Objęcie w Polsce władzy przez grupę wojskową /.../ jest, niezależnie od przyczyn, jakie je spowodowały – nowym etapem ewolucji, która Polskę stopniowo przekształca. Myślę, że prawidłowym programem dla Polski jest dalsza ewolucja dokonywana drogą powolnego procesu stopniowych przemian i reform. Myślę także, że rządy wojskowe stanowią dobre ramy, w których nowy etap pomyślnych przemian w życiu polskim może się dokonać – o ile rządy te będą chciały i umiały taką rolę w historii Polski odegrać”³¹.

Dodajmy: chciały, umiały i mogły – a taka sytuacja powstała dopiero kilka lat później, w dobie trudnych w bliższej perspektywie przemian na Kremlu. Giertych, z którego wielu wywodami trudno się zgodzić, wykazał tu talent dalekowzrocznego polityka oraz analityka-politologa. Głos jego był raczej odosobniony, zwłaszcza na tle postaw ogółu angielskiej emigracji. Wracając zaś na kontynent wypadnie zauważyć, że do uważnych obserwatorów przemian w kraju należał doskonale znający polskie realia powojennych dziesięcioleci „Brukselczyk”. Jego publicystyka, otwarta i niezależna, znajdowała na emigracji zresztą nie tylko sympatyków a skrajne przeciw niej wypowiedzi musiały dawać wiele do myślenia.

W swej swoistej autobiografii zaznacza nie bez goryczy, choć ta nie była nigdy eksponowana, że był – co oczywiste – atakowany przez prasę krajową czy radziecką, ale znacznie częściej spotykały go ataki ze strony środowiska emigracyjnego, z którego rekrutowali się jego stali czytelnicy. Ilustruje to burzliwą reakcją na jego artykuł³² zatytułowany *Między rozumem a brzegiem pucharu*, zawierający krytykę dyktatury junty generała Jorge Videli (pisał bez ogródek, iż „nie ma tortury lewicowej ani prawicowej,

³¹ J. Giertych, *Co robić? List otwarty do społeczeństwa polskiego w kraju*, „Opoka”, Londyn 1982, nr 17, s. 38. Zob. M. Kosman, *Stan wojenny widziany z Londynu. Polska 1982 r. w opinii Jędrzeja Giertycha* [w:] *Kultura polityczna w Polsce*, t. IV część druga: *Swoi i obcy*, praca zbiorowa pod red... Poznań 2005, s. 199–204.

³² Tekst został opublikowany na łamach „Kultury”, przy czym jej redaktor był świadom ryzyka: narażał się Polonii argentyńskiej, która była „nie tylko najbardziej reakcyjna, ale mocno zorganizowana i... abonująca sporo egzemplarzy” (*Intruz*, s. 360). Dostyc krytyczne opinie o kondycji umysłowej ogółu polskiej emigracji spotykamy w licznych wypowiedziach intelektualistów na zachodzie i w kraju, ostatnio zob. np. opublikowane po latach uwagi Jarosława Iwaszkiewicza, *Dzienniki 1911–1955*, Warszawa 2007. Ich autor natomiast wysoko sobie cenił stare i nowe kontakty z przebywającymi na wychodźstwie ludźmi pióra, choćby ze względu na możliwość konfrontowania stanowisk w kwestiach ideologicznych i politycznych.

jest tylko tortura, której ofiarą padały przed i w czasie Mundialu tysiące przeciwników dyktatury”) – co spotkało się z natychmiastową reakcją ze strony... tamtejszej rodzimej reakcji, która akceptowała potępienie dla rzeczywistych czy wydumanych przejawów łamania prawa w ojczyźnie, natomiast nie pozwalała rzucić choćby cienia na zbrodnie reżimu w aktualnym kraju swego zamieszkania. I rzeczywiście na „Brukselczyka” posyłały się gromy – indywidualne listy i telegramy a także apel 47 organizacji polonijnych w obronie dyktatora a przeciw autorowi, któremu zarzuczano potwarz i oszczerstwo, brudną robotę z gorliwością neofity. A jedna z indywidualnych autorek (dawna warszawianka, zamieszkała po wojnie w Kanadzie) popisała się – list datowany w historycznym dniu 11 listopada, tyle że 1978 r.) w sposób godny krajowej propagandy w najczarniejszych latach PRL-u, który Unger udostępnia w postaci fotokopii.

Giedroyc owe napastliwe teksty swoim zwyczajem postanowił opublikować, jednak z komentarzem – i to obszernym – Leopolda Ungera. Ten odpowiedział w sposób, który pozwala go zaliczyć do kręgu wytrawnych politologów o obiektywizmie, szerokim i perspektywicznym spojrzeniu na sprawy współczesnego świata. Ataki dosięgały go z różnych stron, między innymi od wychodzącego we Francji emigracyjnego „Narodowca”, który nie dostrzegał zmian dokonujących się w Polsce i na Kremlu w dziewiątej dekadzie XX wieku i nie brał pod uwagę możliwości przeobrażeń ustrojowych drogą porozumienia narodowego. Wobec dziennikarza, który na nie zwracał uwagę, nie szczędził epitetów, stawiając pytanie, kim on właściwie jest: Polakiem, Belgiem, Francuzem czy Żydem. Odważne zaś wypowiedzi ze strony takich jak on publicystów wpływały na zmniejszanie się liczby abonamentów „Kultury”.

Był więc atakowany – i to od lat – w kraju, w tym przez niejednego z dawnych kolegów po piórze. Potępiali go czytelnicy z emigracji. Na szczęście miał solidne oparcie w Jerzym Giedroyciu, i to było najważniejsze. Choć ten spodziewał się kolejnej frondy ze strony oburzonych prenumeratorów i zazwyczaj jakąś ich liczbę tracił. Zapewne jednak pozyskiwał nowych z kręgu ludzi myślących.

Czas Okrągłego Stołu oznaczał bliskie żniwo zarówno dla Redaktora z Maisons – Lafitte, jak i dla jednego z jego najbliższych współpracowników, „Brukselczyka”. Nie tylko „Kultura”, ale również belgijskie kręgi polityczne a co za tym idzie również opinotwórcze żywo interesowały się wydarzeniami w Warszawie. Po raz pierwszy od dwudziestu lat Leopold Unger wylądował na warszawskim Okęciu dnia 28 marca 1989 r.³³ wśród dziennikarzy towarzyszących oficjalnej delegacji rządowej z premierem Wilfriedem Martensem i ministrem spraw zagranicznych Leo Tiendemansem. Goście chcieli z autopsji poznać dokonujące się nad Wisłą przemiany i głównych aktorów sceny politycznej a zwłaszcza granice demokracji i jej możliwości po czterech z górą dziesięcioleciach dyktatury, pokojowego wyjścia z okowów Jałty. Polski Brukselczyk wracał do swoich, już w czasie krótkiej podróży samolotem objaśniał szefa delegacji o polskich

³³ Nieco wcześniejsze próby uzyskania wizy spotkały się z odmową ze strony polskiej, choć występował pod swym pseudonimem z „Le Soir”, a nie pod nazwiskiem. Jego tożsamość była bowiem od pewnego czasu władzom PRL dobrze znana.

realiach, które przecież mimo długiej nieobecności były dlań bliskie i – choć nie do końca i nie zawsze – zrozumiałe. Po przyjeździe do ojczyzny przez trzy dni nieustannie depeszował do swej redakcji. Podczas oficjalnego przyjęcia w siedzibie Interpressu spotkał wielu dawnych znajomych a wśród nich jednego z autorów paszkwili sprzed lat, który kordialnie usiłował się z nim przywitać: „Zatkało mnie, ale zanim zdążył coś powiedzieć, ja schowałem ręce do tyłu i powiedziałem dość głośno: „Ja pana nia znam, nie znałem i nie chcę znać”. Tłum szumiał nadal, szturmował stoły, ale wokół mnie zrobiło się cicho, zapadło milczenie. Nie trwało jednak długo, facet się zmył”³⁴.

Inaczej wyglądało spotkanie z Mieczysławem Rakowskim, o które wysłannik „Le Soir” sam zabiegał, pokonując bariery stwarzane przez rzecznika polskiego premiera. Urzędnik przekazał natychmiast prośbę swemu szefowi i już po kwadransie poinformował Ungera o wyznaczeniu spotkania nazajutrz o godzinie 9.00 z rana. Gospodarz powitał kolegę po piórze serdecznie zwracając się doń po imieniu przy swoim personelu i zabezpieczając przez wszelkimi innymi rozmówcami z wyjątkiem telefonu „rządówką” od Wojciecha Jaruzelskiego. Gość zanotował: „Ostentacyjne (premier peerlowskiego rządu bierze publicznie w ramiona antyleerlowskiego emigracyjnego dziennikarza) powitanie Rakowskiego zaskoczyło mnie tylko do pewnego stopnia. Mieliśmy sobie, zwłaszcza on mnie (w końcu wiedział, co myślę i dokąd docieram), wiele do powiedzenia. Przesiedzieliśmy razem kilka godzin, rozmowa była pasjonująca, najzupełniej szczerą (mimo że prawie cały czas magnetofon się kręcił), przerywana jedynie dobrym koniakiem i dzwonkiem „rządówki”. Przy pierwszym dzwonku Rakowski powiedział do mnie: „To generał”, a generałowi: „Jest u mnie Unger”. A potem do mnie: „Masz od niego pozdrowienia”. Tak jakby w tym, że w marcu 1989 roku Jaruzelski pozdrawia Ungera, było coś najzupełniej normalnego”³⁵.

Rozmowa z pewnością była szczerą, o czym świadczy notatka z dnia 30 marca w dziennikach politycznych Rakowskiego, dotycząca kontynuacji rozmów z Martensem (bez relacjonowania jej treści) a konkretnie reakcji polityka belgijskiego na informacje uzyskane w Warszawie: „W ekipie dziennikarzy, którzy z nim przyjechali, jest także Poldek Unger (ongis sekretarz „Życia Warszawy”, wyjechał z Polski w 1968 r., w okresie kampanii antyżydowskiej). Teraz przyszedł do mnie i powiedział, że Martens miał wypieki na twarzy po rozmowie ze mną; nie spodziewał się takiego otwartego rozmówcy w tej części Europy”³⁶.

³⁴ *Intruz*, s. 379.

³⁵ *Ibidem*, s. 380 n.

³⁶ M.F. Rakowski, *Dzienniki polityczne (T.10): 1987–1990*, Warszawa 2005, s. 407. Cytowane zdania rozpoczynały obszerną, półtorastronicową notatkę z owego dnia, której istotna część dotyczyła wiadomości rozpowszechnianych „na mieście”, jakoby opozycja oskarżała ekipę Jaruzelskiego o przekroczenie pełnomocnictw uzyskanych na X Plenum i zamierzała doprowadzić do obalenia Generała i powołania na stanowisko I sekretarza KCPZPR Alfreda Miodowicza, przewodniczącego Ogólnopolskiej Federacji Związków Zawodowych. W tej sprawie wieczorem o godzinie 21.00 odbyło się w gmachu KC spotkanie zwolenników reform (w ścisłym gronie sześciu osób), w tym premiera i dopiero po jego zakończeniu ten mógł przystąpić w domu do zrelacjonowania minionego dnia w prowadzonym od ponad trzydziestu lat diariuszu.

Kilkugodzinne spotkanie w siedzibie premiera zaowocowało wywiadem zamieszczonym na pierwszej stronie „Le Soir”, który spotkał się szerokim oddźwiękiem i był cytowany przez zachodnie agencje a ogłoszony został bez autoryzacji – Rakowski wyraził bowiem pełne zaufanie do swego rozmówcy. Ten zaś był świadom doniosłości chwili, o czym nie omieszkął napisać: „pierwszy raz komunistyczny premier w kraju Układu Warszawskiego, pod okiem Moskwy i wojska sowieckiego, rozmawia nie drewnianym językiem, a mówi o prawdziwym „kompromisie historycznym”, o polskim skoku w nieznane bez siatki ubezpieczającej, o ryzyku nieznanych granic demokracji i tolerancji sowieckiej. „Czy nie ma już (tak było w druku, w istocie zapytałem Rakowskiego, czy się nie boi) groźby interwencji sowieckiej?” Odpowiedział wtedy, że z Gorbaczowem na Kremlu takie ryzyko nie istnieje...”³⁷

Z Gorbaczowem... O tym pamiętał Wojciech Jaruzelski, który starał się nie podejmować kroków, mogących dostarczyć argumentów rosyjskim nieprzyjaciółom tego przywódcy, natomiast spieszył się tam, gdzie sprawy demokracji Polski można było posunąć naprzód. Podobnie jak finalizował rozmowy z Niemcami w spornych sprawach granicznych (Zalew Szczeciński) i zyskał akceptację ze strony Niemieckiej Republiki Demokratycznej przed przekazaniem władzy opozycji. Doświadczony strateg wiedział, jak postępować, by uniknąć niepowodzeń a zwłaszcza klęski³⁸. Miał lojalnych najbliższych współpracowników, jednym z nich był od 1981 roku Mieczysław Rakowski – najpierw wicepremier, później jeden z wicemarszałków sejmu, wreszcie w decydującym momencie przemian ustrojowych szef rządu.

Leopold Unger jako pisarz polityczny różnił się od ogółu komentatorów zachodnich tym, że z jednej strony jak mało kto znał „od środka” zarówno mentalność wschodnią jak i zachodnią, z drugiej zaś potrafił zachowywać wobec współczesności dystans pozwalający na formułowanie chłodnych i wybiegających w przyszłość ocen. Dzięki licznym spotkaniom doskonale „przejrzał” m.in. osobowość Lecha Wałęsy, jego mentalność i nie ulegał płytkim euforiom, choć w pełni doceniał i nie lekceważył roli dziejowej³⁹, jaką gdańskiemu elektrykowi wyznaczili przywódcy polskiej opozycji a poza którą on sam – z różnymi dla samego siebie i dla kraju – w pewnym momencie wyszedł.

Rasowy politolog dał o sobie znać w paralelnych wywiadach, jakie z okazji dziesiątej rocznicy Okrągłego Stołu opublikował obok siebie w identycznej objętości na tej samej stronie „Le Soir” z obu poprzednikami urzędującego wówczas w Pałacu Prezydenckim Aleksandra Kwaśniewskiego, które tak skomentował: „Jaruzelski rozmawiał jak mąż

³⁷ *Intruz*, s. 381.

³⁸ Kwestiom tym poświęcam wiele miejsca w książce z 2003 r. (*Wojciech Jaruzelski wobec wyzwania swoich czasów...*) a zwłaszcza w znajdujących się w druku (Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2007) rozważaniach nad rolą tego przywódcy w procesie przemian politycznych w Polsce ostatniej ćwierci XX wieku (*Los Generała...*)

³⁹ *O sui generis* podziwie świadczy zdanie Ungera, że również jego „coś fascynowało w tym robotniku, który na prezydenckim fotelu czuł się jak u siebie w domu, tak jakby urodził się nie na kujawskiej wsi, lecz w pałacu i łożu Radziwiłłów” (*Intruz*, s. 276).

stanu, Wałęsa jak... Wałęsa – pycha, pewność siebie, powoływanie się na misję bożą i historyczną – i zupełny brak treści...⁴⁰

Dziś, kiedy upłynęło z górą siedemnaście lat od tamtej wizyty przedstawiciela belgijskiego dziennika w ojczystej stolicy, Leopold Unger dysponuje znacznie bogatszym materiałem do refleksji nad polskimi przemianami, który potwierdza ówczesne uwagi głównych aktorów sceny politycznej o wielkim skoku w nieznaną i związanym z tym ryzyku. Jak zwykle w chwilach wielkich wydarzeń dziejowych...

⁴⁰ Ibidem.